

Stany Zjednoczone Europy?

2 maja 2014

Tekst poniższy będzie z pewnością odebrany przez część czytelników jako prowokacyjny. Cóż, jeśli będzie to prowokacja do myślenia, tym lepiej. Natomiast źle by oczywiście było, gdyby przemyślenia autora stały się okazją do niewybrednych ideologicznych przepychanek, oskarżeń o wynarodowienie, kosmopolityzm, „brak patriotyzmu” itp. Polemiści mieliby tu zaś tym dogodniejsze pole do ataku, że w dyscyplinie autora, tj. socjologii, istotnie ostatnimi laty sporą popularność zdobyły koncepcje socjologii kosmopolitycznej, sygnowane nazwiskami Ulricha Becka i innych. Od tego jednak do przyjęcia, że sam autor musi być zwolennikiem owych teorii, jest naturalnie daleka droga, nie mówiąc już o tym, że nie należy mylić kosmopolityzmu jako światopoglądu i podobnie określanego nurtu w naukach społecznych, gdyż czyniący tę omyłkę popełniałby tym samym nazwany tak przez Whiteheada błąd źle umiejscowionej konkretności.

A zatem do rzeczy. Dla każdego znającego się na gospodarce jest raczej jasne, że tzw. kryzys euro nie został bynajmniej przezwyciężony, ponieważ nie zanikły jego podstawowe przesłanki. Wbrew powszechnej opinii euro w ogóle nie zasługuje na miano wspólnej waluty europejskiej. Porównajmy ten pieniądz z dolarem, jakiemu istotnie przysługuje taki status – w obrębie państwa federalnego. Jeśli, powiedzmy, mieszkaniec stanu Alabama ustanowi depozyt w banku, to – przy innych warunkach jednakowych – ten wkład będzie przynosił taki sam procent jak oszczędności poczynione przez mieszkańca New Jersey albo Luizjany. Takie samo rozumowanie można by przeprowadzić odnośnie do innych podstawowych operacji i procesów ekonomicznych poświadczających ujednolicenie warunków obrotu gospodarczego pod jurysdykcją dolara. Tymczasem w Europie, nawet jeżeli ograniczymy się do strefy euro, nic podobnego nie ma miejsca. Wystarczy pomyśleć o drastycznych

różnicach w poszczególnych parametrach ekonomicznych między Grecją a Niemcami. Otóż na dalszą metę nie ma innego rozwiązania tego problemu jak tzw. unia fiskalna, czyli po prostu wspólny budżet, co oznacza zaś – jak mówią Anglicy – for all intents and purposes wspólne państwo. Podstawą do obowiązywania dolara na obszarze nie mniej wszak niż państwa Unii zróżnicowanych gospodarczo stanów USA – jest zdolność fiskalna skarbu państwa i nieodłącznie z tym związana możliwość transferu funduszy pomiędzy regionami. Taki transfer dokonuje się w Stanach na skalę zaskakująco wysoką dla tych, w oczach których Ameryka to wciąż wzorcowy kraj wolnorynkowego kapitalizmu. Biedacy ci nie znają za dobrze historii, a nazwa „New Deal” kojarzy im się pewnie z jakąś nową superfuzją potentatów na rynku smartfonów czy innych gadżetów.

Te półśrodki, jakie stosują władze UE, a przede wszystkim jej Bank Centralny, działają jak przylepiec na rany – mogą pomóc czasowo, ale nic ponad to. Problem niezaleczony pozostanie problemem.

Czy nadzór nad bankami suwerennych państw i w razie potrzeby niezbędna pomoc finansowa będą mogły być w pełni urzeczywistnione bez wykształcenia prawdziwego unijnego państwa? To w najwyższym stopniu wątpliwe. Jak pokazuje najnowsza historia, a także zdrowy rozsądek, każdy rząd ma swoje cele, forsuje narodowe i specyficzne klasowe interesy, co prowadzi do zaostrzenia nieusuwalnych sprzeczności systemu kapitalistycznego, jakie Unia miała przecież łagodzić. I dodajmy, były na to rzeczywiście szanse, bo Europa Zachodnia reprezentuje system – z pominięciem rzecz jasna, jak to określa nieżyczliwa prasa satyryczna, „amerykańskiego pudła”, tj. Wielkiej Brytanii – odrębny od anglofońskiego.

Trudno sobie wyobrazić, jak ukształtowany przez lata i notabene stanowiący fundament sukcesów niemieckiej gospodarki unikalny model współpracy sieci lokalnych banków z drobnymi i średnimi przedsiębiorstwami, tworzącymi kościec nadreńskiej struktury gospodarczej, miałby być ulepszony w wyniku odgórnej

interwencji i kontroli brukselskich urzędników. Nie wspominając już o tym – co nawiązuje do wcześniejszej myśli – że choć formalnie wszystkie państwa są na równi suwerenne, to niektóre są suwerenne zdecydowanie bardziej. W ramach Unii należy do takich przede wszystkim Niemiecka Republika Federalna, którą stać będzie na odrzucenie wszelkiej niewygodnej dla Berlina inicjatywy płynącej z Brukseli. W ostatnim okresie Niemcy prowadziły właśnie taką politykę korzystną dla siebie, tj. nastawioną na eksport. W takiej gospodarce mniej się liczy konsument wewnętrzny, więc rząd niemiecki dopiero na szarym końcu państw rozwiniętych, w przymusowej sytuacji, na zasadzie ustępstwa wobec koalicyjnego partnera wprowadził instrument od dawna stosowany gdzie indziej – płacę minimalną. To rząd Merkel stał także za nieustępliwą polityką antyinflacyjną Europejskiego Banku Centralnego i następnie polityką oszczędnościową, jaka dotkliwie dała się we znaki uboższym klasom społecznym kontynentu.

Coraz bardziej widoczne sprzeczności interesów pomiędzy Paryżem a Berlinem, niegdyś przecież traktowanymi jako strategiczna oś Unii, byłyby na pewno ciut łatwiejsze do pokonania, gdyby mogły być regulowane w ramach jednej struktury państwowej. Tymczasem mamy twory o nader wątpliwym statusie ontologicznym – zarówno UE, jak i jej niezbyt udane dziecko, strefę walutową (która de facto strefą walutową w pełnym tego słowa znaczeniu, jak podkreślano, nie jest).

No ale zaraz... Gdzie w tym wszystkim miejsce dla Polski? Oderwane od rzeczywistości teoretyzowanie to jedna sprawa, a nasze konkretne interesy narodowe to zupełnie inna kwestia.

Po kolei. Co do abstrakcyjności i idealizowania Unii autor niezupełnie mógłby się zgodzić. Budowla, jakiej na imię Unia Europejska, wykazuje skazy bynajmniej nie tylko w swych fundamentach ekonomicznych. Jej struktury i mechanizmy polityczne pozostawiają także wiele do życzenia. Pojawiło się już nawet nowe określenie dla rodzaju ustroju politycznego

właściwego dla UE – „komisjokracja”, oczywiście od nazwy ulubionego ciała władczego sprawującego rządu w Brukseli i Strasburgu. Parlament ma, po pierwsze, o wiele mniejsze znaczenie od poprzednich ciał, ale i sam cierpi na wyraźny niedostatek demokracji. Jest wiele wskaźników tego smutnego stanu rzeczy: niska frekwencja w wyborach europosłów czy znikoma znajomość tych ostatnich wśród ich nominalnego elektoratu i wynikający stąd brak łączności obu stron. Być może jednak kluczowe znaczenie ma tu inny czynnik – nasz sejm także nie cieszy się estymą w narodzie, niemniej każdy może przypomnieć sobie momenty z bardzo niedawnej historii, gdy ważne potrzeby i interesy zasadniczych klas społecznych wypychały je na ulice, właśnie na Wiejską, uznawaną za stosowne miejsce dla tego rodzaju manifestacji. A teraz proszę porównać to ze statystykami demonstracji przed siedzibą Parlamentu Europejskiego. Porównanie jest wymowne.

Nie jest to wszelako stan, jaki z założenia wykluczałby różnego rodzaju środki zaradcze. Znowu jest to obszerny temat, mogący stanowić przedmiot osobnego artykułu, powiemy więc w tym miejscu, że także inny strach naszych czasów, tj. globalizacja, jest niestraszny mechanizmowi demokracji cyfrowej, które wykorzystują dobrodziejstwa globalizacji w postaci kanałów i urządzeń komunikacji. Zaczątki takich działań rozwijają się od dłuższego czasu i nie widać żadnych przeciwwskazań, by mechanizmów petycji, listów do rządów i organizacji międzynarodowych, znaczna część których osiągnęła zamierzony efekt, nie rozszerzyć do propozycji ustawowych, głosowań nad budżetem itp., co mogłoby radykalnie przekształcić oblicze brukselskiego Lewiatana.

Wróćmy do kwestii polskich interesów. Zapewne trudno byłoby znaleźć kogoś, kto uważałby, że per saldo nasze wejście do Unii było niekorzystne z ekonomicznego punktu widzenia. Inna rzecz, czy olbrzymi strumień pieniędzy płynący z unijnych skarbców został optymalnie wykorzystany. Mam wątpliwości, czy szefowie UE albo nasza komisarz Hübner mają prawo powiedzieć,

patrząc na stan rodzimych dróg i innych infrastrukturalnych projektów – że „zastali Polskę drewnianą, zostawili murowaną”.

W dziedzinie politycznej wpływ UE uwidocznił się przede wszystkim w zakresie zbioru różnych mechanizmów prawnych, jakie Polska musiała przyjąć, wstępując do Unii. Nie jest to miejsce na księgowy bilans owych norm, jednak ogólnie stwierdzić można ich pozytywny, cywilizujący wpływ na nasze życie publiczne. Z drugiej jednak strony był to wpływ dość formalny, jeśli nie naskórkowy, co często można zarzucać prawu, które ostatecznie do formalnych mechanizmów wszak się sprowadza. Jeśli zatem zapytamy, czy w następstwie tych dostosowań zmieniła się, i jeśli tak, to w jakim stopniu, rodzima tzw. kultura polityczna, czy podniosła się intensywność życia obywatelskiego, to odpowiedź będzie musiała być o wiele bardziej mieszana, a pod pewnymi względami jednoznacznie negatywna. Czy w związku z tym owe braki mogłyby zostać łatwiej zrekompensowane w ramach czegoś, co zostało wymienione w nagłówku artykułu, bez pytań? Wydaje się, że tak jak z oczywistych względów w ramach jednolitego organizmu państwowego mechanizm transferów środków może działać znacznie sprawniej niż w ramach mozaiki państw narodowych, tak i wzmożona komunikacja wielu stron i ich interaktywne relacje – w odróżnieniu od wcale nie obowiązkowej centralizacji – jakim sprzyjałoby utworzenie nie tylko unii monetarnej, ale i wspólnego państwa, nie mogłyby nie przynieść pozytywnych następstw i dla tej dziedziny życia.

Obserwatorów polskiego życia publicznego od lat podziwem napawają, jak się wydaje, nieskończone wysiłki naszych reformatorów rozmaitych sfer życia społecznego, czy to oświaty, czy służby zdrowia, czy czegoś tam jeszcze. Pomysłodawcy owych, excusez le mot, reform działają zgodnie ze wszystkimi regułami koterii, dając się przy tym nieźle pożywić rzeszy konsultantów, kooperantów, podwykonawców i jak tam oni się jeszcze zwą. A przecież jakkolwiek ma słuszność wieszcz, smagając naród za to, iż „pawiem [innych] narodów był i

papugą”, to wszystko sprowadza się do sposobu i obiektu takiej adaptacji. Może irytować tępotą kulturową przeszczepianie na siłę z gruntu nam obcej tradycji Halloween (konia z rzędem temu, kto potrafi udowodnić, że choć 10 proc. uczestników tej zabawy rozumie jej sens i genezę) na głębę obyczajowości narodu, który akurat wokół kalendarzowego Dnia Zmarłych posiadał swoją własną tradycję Zaduszek. Natomiast dziwne (pozornie, oczywiście – patrz wyżej), że nikt jakoś w kraju nie był zainteresowany przenoszeniem na rodzimy grunt dobrych wzorców zagranicznych, np. fińskiej oświaty, społeczeństwa obywatelskiego kwitnącego w wielu krajach Europy, nie wspominając już o generalnym modelu państwa opiekuńczego wypracowanego w Skandynawii. Model ten – jak wykazała rzeczywistość – udowodnił, że potrafi połączyć coś, co wydawało się dotąd nie do pogodzenia: wysoki stopień ochrony socjalnej, horrendalny z punktu widzenia burżuazji poziom podatków z wysoką konkurencyjnością i wzrostem gospodarczym, kończąc na takich „detalach” jak czołowe miejsca w rankingach spójności społecznej czy najmniej skorumpowanych państw i społeczeństw (w tym ostatnim na prowadzenie wysunęła się Dania).

Powie ktoś, że nikt nie wzbrania nam pożyczać sobie tej lub innej z owych sprawdzonych struktur już obecnie, że przynależność do jednego państwa nie jest tego warunkiem niezbędnym. Niby racja, ale tylko na pozór. Bowiem w praktyce taka dyfuzja między państwami wygląda jednak zupełnie inaczej niż przekazywanie optymalnych rozwiązań czy dobrych praktyk pomiędzy regionami jednego organizmu.

Omawianie korzyści, jakie mogłaby przynieść tak pojęta integracja, można by kontynuować długo, a wiele z nich ma coś wspólnego z aktualną, jak się okazuje, diagnozą Gombrowicza, jaką postawił ongiś polskiemu zaściankowi.

Ale naprawdę mijałoby się to z celem. Albowiem po tym hymnie w beethovenowskiej tonacji nadszedł czas na kubeł zimnej wody. Powyższe rozważania można traktować jako rodzaj nieszkodliwego

eksperymentu myślowego – w obecnym klimacie politycznym i ideologicznym projekt taki nie ma szans. Nie tylko na szczęblu Unii nie widać wizjonerów, mężów stanu, którzy mieliby odwagę wyjść poza wąskie technokratyczne rozwiązania, w kręgu których obraca się od dłuższego czasu UE, ale – co jeszcze istotniejsze – inicjatywa taka nie mogłaby w obecnej koniunkturze liczyć na oddolne poparcie ani rządów, ani społeczeństw. Do stanu świadomości tych ostatnich w tej mierze przyczyniają się naturalnie nie tylko luki w edukacji dotyczącej wad i zalet różnych form organizacji unijnego systemu, lecz również autentyczne braki systemu obecnego, mogące zniechęcać – miast zachęcać – do jego naprawy.

Tak więc wydaje się, że... wszystko zostanie po staremu – anemiczny wzrost gospodarek, którym coraz trudniej będzie nastarczyć środków dla starzejącej się ludności, oraz to podnoszące się, to nieco opadające fale nacjonalizmu, który pozostanie trwałą bolączką Europy, tym groźniejszą, że – jak pokazuje choćby aktualny przykład wyspiarzy – dającą się łatwo wygrywać przeciwko imigracji, która – ekonomicznie rzecz biorąc – jawi się jako racjonalne rozwiązanie demograficznych kłopotów Europy.

Autor: prof. dr hab. Jacek Tittenbrun

Źródło: [Nowy Obywatel](#)

O AUTORZE

Prof. dr hab. Jacek Tittenbrun (ur. 1952) – socjolog, profesor doktor habilitowany. Kierownik Katedry Socjologii Przedsiębiorczości i Pracy oraz Zespołu Badań Socjoekonomicznych w Wyższej Szkole Nauk Humanistycznych i Dziennikarstwa w Poznaniu, profesor zwyczajny Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. Autor teorii stanów społecznych i teorii własności siły roboczej. Prowadzi badania na pograniczu socjologii i ekonomii. Laureat wielu nagród naukowych, m.in. nagrody im. Stefana Czarnowskiego, przyznanej przez Polską Akademię Nauk. Wielokrotny stypendysta

zagranicznych ośrodków naukowych, członek prestiżowych instytucji i środowisk naukowych, m.in. Europejskiego Stowarzyszenia Socjologicznego. Uhonorowany tytułem naukowca roku 2005 przez International Biographical Centre (Cambridge, Anglia). Autor kilkunastu książek, w tym wydanych w Londynie i Nowym Jorku, m.in. „Instytucje finansowe a własność kapitału akcyjnego” (1991), „Nowi kapitaliści? Pracownicze fundusze emerytalne a własność kapitału akcyjnego” (1991), „The Collapse of »Real Socialism« in Poland” (1993), „Ekonomiczny sens prywatyzacji: Spór o wyższość własności prywatnej nad publiczną” (1995), „Private versus Public Enterprise: In Search of the Economic Rationale of Privatisation” (1996). „Z deszczu pod rynnę: Meandry polskiej prywatyzacji” (cztery tomy, 2008). Ponadto tłumacz literatury pięknej, autor m.in. polskiego przekładu „Żelaznego Jana” Roberta Bly. Członek Rady Honorowej „Nowego Obywatela”.